

Opowieść o przedziwnym korzeniu

Wiek XIX rozpoczął się niepomyślnie dla mieszkańców powiatu nidzickiego. Już w pierwszych dniach sierpnia 1804 roku w mieście wybuchł wielki pożar, który strawił blisko siedemdziesiąt domów. Spłonął też kościół, plebania, a także szkoła, która jeszcze nie tak dawno była chlubą Neidenburga.

Na dodatek zewsząd docierały wieści o straszliwych wojnach, które wielkie armie toczyły na rozległych polach Europy. To Napoleon - bóg wojny tworzył nowy porządek świata. Ludzie z niepokojem nasłuchiwali tych wieści niepewni tego, co przyniesie jutro.

Aż pewnej grudniowej nocy 1806 roku do miasta wkroczyli Francuzi marszałka Neyema, Nie zabawili zbyt długo, ale po nich przyszli następni i następni. Rabowali dobytek, zabierali bydło i trzodę mieszkańcom okolicznych wsi. Chłopi próbowali bronić swojej własności, ale żołdackie bagnety i kolby karabinów brutalnie tłumiły każdy opór. Dla francuskich dowódców wszyscy mieszkańcy tych ziem byli Prusakami, a więc wrogami Francji, dlatego gwałty czynione miejscowej ludności przez ich oddziały zupełnie ich nie obchodziły. I tak odległe wojny, o których dotychczas tylko słyszeli, dotarły i tutaj. Nastąpiły ciężkie czasy, do wielu domów zaczął zaglądać głód. Ludzie bojąc się o własne życie opuszczali rodzinne miejscowości i kryli się w królewskich lasach.

Za przykładem innych poszła też rodzina Turkowych z Zimnejwoddy. Minał Już tydzień jak ich sąsiedzi opuścili wioskę i skryli się w puszczańskich kniejach. Cóż było robić, uciekać, czy zostać? Mieli jeszcze nadzieję, że wojska pójdą dalej i nastanie wreszcie spokój. Ale kiedy żołnierze zabrali im ostatnią krowę, a ojca pobili okrutnie, także i oni postanowili dłużej już nie czekać. Pewnej nocy zawinęli w tobołki tylko to, co zdołali unieść i wyruszyli w stronę Złotych Gór. Już wcześniej słyszeli od ludzi, że właśnie tam ukryło się wielu uciekinierów.

- Oj doło nasza doło - lamentowała stara Turkowa - czemóż to Pan Bóg tak nas doświadcza. Wszystkom stracili i jeszcze uciekać musim !

- Cichaj babo, bo jeszcze jakoweś nieszczęście na nas sprowadzisz - fuknął na nią stary Jędrzej.

Szli więc w milczeniu. Przystawali co chwila, nasłuchując odgłosów puszczy. Wokół panowała jednak cisza. Od czasu do czasu przerywały ją tylko krzyki nocnych ptaków i szelest liści. Czarne wierzchołki sosen dotykały jakby nieba i kołysały się na wietrze.

Ludzie zmęczeni drogą zatrzymali się na odpoczynek. Miękki mech, zapach ziół i żywicy sprawiły, że natychmiast usnęli. Czuwał tylko Jędrzej i jego najstarsza córka Anna, ale i ona wkrótce usnęła. Jędrzej oparty o pień drzewa patrzył w rozgwieżdżone niebo. Nie czuł strachu, bo już wiele doświadczył w swoim długim życiu. Teraz spoglądał w gwiazdy i myślał tylko o tym, co przyszłość przyniesie jemu i jego rodzinie.

Obok, na zwałonym pniu drzewa usiadł jakiś ptak. W mroku przypominał upiora. Jeszcze przez chwilę trzepotał długimi skrzydłami, skrzydłami potem znieruchomiał. Nagle głębokie „puhu”. przerwało ciszę. Jędrzej rozpoznał głos puchacza i zrozumiał, że świt już niedaleko. Gdzieś w górze odpowiedziało mu ostre wołanie dzięcioła „kiks”, „kiks”.

- Czas nam ruszać dalej - pomyślał i zaczął budzić śpiących ludzi.

Tymczasem świt wypełzał spod ciemnych świerków, odsłaniał powoli barwy i kształty lasu. Stary Jędrzej wciągał płucami zimną woń mokrego poranka, stężejącej od chłodu żywicy. Zostawiwszy za sobą resztki snu, ruszyli dalej. Po godzinie dotarli do Majnej Góry. Już z daleka było widać samotną leśniczówkę stojącą w cieniu odwiecznych dębów. Jej ściany wyciosano z wielkich pni świerka, a czarny dach wysuwał się na boki, tworząc okap chroniący przed deszczem. Tam napotkali pierwszych uciekinierów. To od nich dowiedzieli się, że w okolicach Żłotych Gór schroniło się wielu mieszkańców okolicznych wiosek. Jakaś kobieta opowiedziała im, że ludzie ci cierpią wielki głód.

- Oj biada nam, biada, gdzie się tera podziejem! - znowu lamentowała żona Jędrzeja. Ten jednak tym razem milczał. Pykał tylko swoją długą fajkę i mruczał pod nosem jakieś niezrozumiałe słowa.

- E tam, ludzkie gadanie, wieta przecie, że ludziska lubio bajdurzyć. Na psa urok takie strachy - odezwała się Anka. Stary Jędrzej popatrzył na nią, potem przytulił ją mocno do ojcowskiej piersi.

Piaszczysta droga wiodła pod górę. Po prawej stronie, oświetlone promieniami słońca, wznosiły się Żłote Góry. Gdzieniegdzie porastał je młody świerkowy las. Jędrzej przysłonił ręką oczy i patrzył. Nad ich głowami szybowała para orłów. Ptaki zataczały szerokie koła, wznosiły się, a potem zniżały swój lot, jakby chciały dotknąć ziemi. Nieco dalej w cieniu drzew siedzieli ludzie. Ich szare, wychudzone twarze były świadkiem tego, co tu się wydarzyło.

- Co wam jest ludzie, czysta chore? - pytał chłop, ale nikt się nie odezwał, nie poruszył. Wtedy zrozumiał, że wieści o strasliwym głodzie nie były plotką.

- Tatulu, pobiegne do lasu, może nazbieram jakowyś grzybów, czy jagód, przeca nie bedziem siedzieć i czekać tak nieruchawo jak te wszyćkie ludziska! - krzyknęła Anka i zanim Jędrzej zdołał coś odpowiedzieć, wzięła wiklinowy koszyk i zniknęła za drzewami.

Po dwóch godzinach wróciła jakaś odmieniona i radosna. Jej koszyk był pełen dziwnych korzeni. Barwą i kształtem przypominały korzeń marchwi. Jędrzej ostrożnie wyjął jeden i posmakował. Korzenie miały słodki smak i dawały przyjemne uczucie sytości.

- Gdzieżeś to znalazła? - pytała matka.

- Ano tam, płynie toki strumyk, a wokół rośnie pelniuszko tych roślin. Jedzta na zdrowie. Jedli więc w milczeniu wyjmując słodkie korzenie z wiklinowego kosza. Gdy zaspokoili swój głód, resztę rozdali ludziom siedzącym pod drzewami.

O zdarzeniach, które nastąpiły potem, lud mazurski opowiadał przedziwne historie. Otóż po zjedzeniu korzeni ludzie popadli w stan całkowitej beztroski. Zapomnieli o głodzie i wojnach, o zmęczeniu i chorobach, które ich trapiły. Utracili pamięć i wydawało się, że przeżywają najpiękniejsze dni swego życia. Opowiadano sobie, że te senne, pozbawione własnych myśli postacie błąkały się przez wiele lat po okolicznych lasach. Czego szukali, tego nikt nie wie. Może to sam Bóg w końcu ulitował się nad nimi i wskazał im drogi do rodzinnych wsi, gdyż dopiero po kilku latach błądzenia, tak jak mitycznemu Odysowi, dane im było ujrzeć rodzinny dom.